Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 33. Poznań, dnia 17. Sierpnia. 1840.

Literatura zagraniczna.

Völkerschau auf Reisen
von Theodor Mundt, Iter Band, Stuttgard 1840.

(Ciąg dalszy.)

Jeden z znamienitych pisarzy naszych przezwał arystokracyą kwiatem narodu, i to wyrażenie narobiło swojego czasu hałasu i sporu, acz nie o kwiat czy liście, ale o woń jego rozpierać się, stósowniejby było. Zapach kwiatu onego na ziemi polskiéj, jakeśmy to widzieli, nie mile owionął powonienie naszego autora. Odszedł więc co prędzéj z jego pobliża, i pobiegł w pole między grochy, zboża i trawy, i tam go świeżość powietrza oblała, i tuszył lepiéj o kraju, gdzie taka czysta zieleń na jego gruncie, takie bujne niwy na jego polach. Kwiat dla rozweselenia oka, ale nie dla pożytku, najczęściéj to u nas treybhauzowa roślinka, sztucznem ciepłem wypieszczona; wątła na srogość klimatu naszego. Sadź ją w doniczki, zdób nią partye ogrodu, lecz pamiętaj, że to chleba nie daje, że z tego się nie dorobisz, ale że pszenica złotokłosa i srebrném kłusiem powiewne żyto, i stręczate rośliny, co narodowemi barwami kwitną, a tém wszystkiém łany pól naszych, jak oko zasięga, okryte; że to było i będzie podstawą mienia i szczęścia Polski rolniczéj.

Otóż o ludzie rolniczym tak się Mundt wyraża: (str. 165.) »W chłopie polskim przechowało się zdrowe i pełne jądro narodowości, oparte głównie na zwyczajach narodowych i silném religijném uczuciu, które z ich charakterem i życiem spoiło się, i tém nierozerwaniéj zrosło, im więcéj słabiało w wyższych wynarodowiających się stanach. Było to obłąkanie okropne, taką massę narodu, o takiém usposobieniu, wyłączyć z praw politycznych a i spółecznych nawet, nie baczyć na nie, i omijać je z umysłu, gdy szło o swobody całego kraju.« Powiada daléj, że w Krakowskiém chłopi są usamowolnieni, lubo nie do tego stopnia, aby porówno z innemi stanami weszli w organizm narodu. Jak więzień przez długie lata w zamknięciu trzymany, wyszedł na wolność; ale widział się obranym ze środków, odepchniętym od dóbr tego świata, i nie raz zatęsknił nazad do więzienia. Opisuje potém smutne i nędzne położenie włościan reszty kraju, i dodaje: »patrząc się na ten lud, co prześpiewa niedolę swoją i napracowawszy się nie sobie, wesoł czas odpoczynku przetańczy i przehula; co nieumiejętny i nieraz opilstwu oddany przecież poczciwym i pobożnym być nie przestaje; przekonywamy się dowodnie, że początkowe tego ludu zarody, szlachetny i nieskażony na późne pokolenia w nim ugruntowały charakter. W niewoli i ucisku, bez oświaty i wygód życia, zachował jako nieodrodny syn natury, czerstwe i krzepkie ciało, czystą duszę, wesoły umysł i przyrodzone doświadczeniem wsparte pojęcie. To wszystko piętnuje na nim znamie, wyższego nad stan swój usposobienia, pewnéj szlachetności, któréjbyś w takiém upośledzeniu nie szukał. Twarze tych chłopków, pięknych rysów a pełne wyrazu, tak źle odpowiadające ich niedoli, są jakby obrazem lepszéj przyszłości, jakby przepowiednią godniejszego tych dusz silnych przeznaczenia. W każdym wdziwną harmonią połączyły się dwa sprzeczne z sobą żywioły: stoicki hart duszy w zadowoleniu z położenia swego i nie łaknienia wyższych potrzeb, a przy tém silny pociąg do wesołego humorystycznego życia. Patrz na zwinność i zgrabność muskularnego mołojca, gdy w pocie czoła wśrod żniw na pośpiech do przodku zażyna, nagięty ku ziemi dzień cały; a patrz, jak wieczorem wyprężony, jak trzcina z dziewoją do tańca stawa, i w najpowabniejszych rzutach i obrotach krakowiaka wywija. Słuchaj z jaką uniżonością korzy się panu i dobrodziejowi, a co wśród zażynek żniwiarzom wypowiada, albo jaką pieśń przed grajkiem na przegrywkę wyśpiewuje.«

Na zaszczyt włościańskiemu stanowi, choć może nie z salonową grzecznością, dla dam należną, porównywa go autor z piękną płcią żeńską narodu, we względzie narodowéj obu wartości. »Oddawna — powiada — polki i chłopów polskich uważano za najlepszą treść

narodu, i dziś jeszcze są nieskażonéj jego narodowości składem. Gdzie równe poświęcenie się kobiet? W świetnych historyi narodu czasach, jak amazonki stawały do boju, jak Spartanki podawały synom, braciom i kochankom tarcz i zbroję. Widziano niewiastę, co w zapale świętego uniesienia ssała świeże rany żołnierzy z placu bitwy odnoszonych, po szpitalach całowała zbolałe ich blizny. Ani nie nazwiemy tego szałem. Miłość bliźniego i miłość ojczyzny zestrzeliła w jedno ognisko płomienie swoje, i dla tego takim żarem zagorzały. A ten żar pali się przede wszystkiém w sercach niewiast polskich. W nich, jak na ołtarzu Abla, którego krew przelał brat rodzony, płomieni się niepokalana ofiara. To jest najwyższe uświęcenie miłości ojczyzny. Zna je Polak i umie je cenić, i dla tego nie ma narodu, gdzieby mężowie równą cześć i szacunek płci pięknéj wyrządzali, jak w Polsce.« (str. 164.)

Autor przypatrzył się onym heroiniom sarmackim w ogrodzie strzeleckim, dokąd pod rozłożystemi drzewami zbiera się świat piękny wolnego miasta Krakowa i przysłuchuje muzyce wykonywanéj codzień przez orkiestrę pułkową austryacką. Brzmią wśród poszmeru liści, walce Straussa, i może nie jedne połechtują nóżęta, atoli są twarze kobiet, których wyraz pozostanie mi — są słowa autora — niezapomniany. »W połysku ich pięknych ócz ciemnych, nie gra chuć tańca, ale jakiś płomień, co w głąb serc przenika, i tam jakieś uniesienia podnosi. Na ich czołach osiadła nieugięta narodowa duma, z pod pukli włosów wyziera i bije otwartém polem odwaga i męztwo. Koralowe usta jakby owiane dmuchem pogardy, lekceważenia próżności i światowego zgiełku. Na całém obliczu wyraz rozżalenia i posępności.«

W ogólności według postrzeżeń naszego podróżnego miasto Kraków ma mieć fizyognomią na podobieństwo człowieka, którego nerwy nieszczęście zdraźniło i który, lękając się lada chwilę nowego wypadku, nosi na twarzy wyraz to strachu, to oczekiwania, wzrok lękliwy i podejrzliwy w okół siebie toczy, a dech w piersi zatrzymuje. Patrzącym się na tę ponurość miasta, z którego łona wystrzeliwają w górę pomniki dawnéj świetności wieków, zda się nam widzieć Samsona, któremu włosy, skład siły jego, przycięto, lub geniusz znękany klęskami, opadły na siłach i woli. Po ulicach miasta uwija się plugawe żydostwo, obdarte żebractwo, postacie ucisku i nędzy, i wydają się, jak robactwo wylęgłe ze zgnielizny ciała i pełzające po jego powierzchni. Rzadko gdzie spotkasz ludzi wyższego stanu, chowają się po domach z bojaźni czy niechęci. Familie zamożne i osoby znaczenia zkąd inąd tu przybyłe od lat siedmiu opuściły miasto. Z obcych mało kto przebywa. Jednę tu tylko często napotykasz osobę, przechadzającą się codzień koło południu po pięknych aleach ciągnących się w okół miasta. Postawa jéj poważna i okazała, włos dużo siwizną zbielony, rzuty silne jeszcze i żołnierskie, wyraz twarzy wojenny, ale coś w nim dyplomatycznego. Przybrana zwykle w długi zielony surdut, z zarzuconą czapeczką na głowie. Wygląda z pod niéj śmiałe i dumne czoło, ale brzemie czasu widać na niém zawisło, a brew ściśniona czy wewnętrzną zgryzotą, czy nieukontentowaniem. Przechodzący mimo poszeptują o dyktatorze, o wodzu z pod Grochowa, a ciszéj jeszcze szepcą może słuszne może niesłuszne o nim domysły. Po przechadzce jada obiad w oberzy pod różą i tak mu schodzi dzień po dniu. Rozhukane bałwany na oceanie dziejowém, po rozbiciu okrętu, wyrzuciły go na ląd, na którym samotne pędzi życie. Wszystko w okół niego zacichło i zamarło, a z życia powodzi, co się łamie zdala o skały i zawady, do uszu jego dochodzi szelest i łoskot, ale brzmi jakby urąganie. Był to mąż dzielny, odważny, szlachetny, i byłby mógł przy tych przymiotach zostać wielkim na zawsze. Wielkość atoli jego chwilowa jak bańka się rozbiła, a z onéj sławy i głośności, pozostały dziś tylko, przechadzka i biesiada. Rozleciały się w nic ideały historyi, a trwa życie saméni potrzebami fizycznémi zadowalane, otoczone poszmerem szpiegującéj gawiedzi i niedowierzającego ludu, by wielkość męża tak się skończyć mogła.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Literatura krajowa.

Poezya.

Męczennik i pustelnik.

Na krzyżu męki winowajca wbity
Konał — i oko zawrócił w błękity;
Jakby tam wiarę w sprawiedliwość mazał
A zemstę tylko przekazał.
Wtém, zabłąkany, śród nocnego cienia
Pustelnik zaszedł na ten plac tracenia
Szukać spoczynku. Noc była burzliwa;
Duszno i tęskno wisiała ulewa.
Człek święty ukląkł, modlił się ze skruchą,
By niebo burzę oddalić raczyło;
Bo dachu niemiał, a chciał przespać sucho —
Chmury wiatr poniósł i burzy niebyło,
A konający wołał: »Panie nad niebiosy!
Toż ani kropli niespuścisz mi rosy

Na usta spiekłe; nie, by życie wrócić,
Lecz aby męki ukrócić.
Wody! ach wody! śmierć będzie znośniejsza
Litość choć płonna cierpienia umniejsza!«
»Czyjże głos słyszę?« pustelnik zapyta.
»To ja — ofiara, na krzyżu przybita.
Ty potępieńcze! coś się wyzuł z prawa,
Coś pokój wzruszył, coś bez stéru nawa
Chciał płynąć wolny po ziemskich odmętach,
Jakby zbawienie nie było w tych pętach,
Co, uświęcone odwiecznym zwyczajem
Posłusznéj rzeszy, ten świat czynią rajem?
Chciałeś się wynieść . . . Otożeś wysoko! . . .
Nie wody . . . ludzką poić się posoką,
Byś żył najdłużéj i cierpiał najdłużéj,
A srogi przykład występnym posłuży.
Podam ci kielich — pij! klątwa w kielichu
Wszystkim, co winni są twojego grzechu!«

Męczennik jęknął. — Burza znów się zbiera
Grzmiąca, jak trąba na sąd ostateczny,
I obok siebie dwóch ludzi umiera —
Dusze ich przyjął anioł w szacie mlecznéj,
Obie stawiając przed Boga oblicze; —
Czeka wyroku: aż on potępieniec
Odmłodniał, w szaty oblókł się dziewicze,
W dłoń dostał palmę, a na skronie wieniec
Pieśnią i tańcem zlał się z wielkim chórem
Harmonii światów. — Pustelnik ponurém
Okiem przepaści piekielne przemierza,
I już w głąb leci skrzydłem nietoperza,
W kraj, gdzie miłości kończyła się władza . . .
Wołając: Panie! jam się modlił Panie!
Lecz niebo modłów czczych niewynagradza,
Dla męczenników przyjdzie panowanie. *L. S.*

Życie sieroty

*przez Stefanią F***.*

(Dokończenie.)

W kilka dni potem słaba jeszcze i bezsilna Zosia wstać musiała i ustąpić miejsca słabszemu jeszcze choremu. Zebrała nędzne odzienie swoje i drząc cała wybladła i chuda wyszła na miasto, niewiedząc, gdzie kroki obrócić. — Sprzedała ostatnią sukienkę swoją — by chociaż gdzie pod dachem nędzne schronić istnienie — zapłaciła z góry za dwa tygodnie najętego poddasza i tam łzy i rozpacz swoją poniosła. Chciała pracować na wyżywienie swoje — lecz słabe oczy odmówiły jéj tego, — chętnie byłaby gdzie poszła jak wyrobnica dzienna — ale siły jéj wycieńczone smutkiem i chorobą — zaledwie pozwoliły jéj się wyczołgać za próg nędznéj izby. Słyszała dawniéj, że w miastach kupować zwykli piękne warkocze i że najwięcéj jasne włosy popłacają, — ona niegdyś złotemi zdobiła się sploty — lecz i te nawet w chorobie straciła. — A tu z dniem każdym zmniejszał się nędzny dobytek pieniężny — dwa tygodnie mijały — nie było czém dalszego najmu zapłacić — ni zaco nędznéj strawy kupić. Dwa tygodnie mijały wypędzono Zosię — ostatni grosz wydała na suchy chleba kawałek. Z rozpaczą spojrzała przed siebie — wyraz **żebrać** jak kamień przygniotł jéj serce — nie — raczéj umrzeć. Pierwszy raz obraz śmierci dobrowolnéj — samodajnéj stanął w myśli Zosi. Miałożby jéj być wzbronione umrzeć, kiedy życia czém utrzymać nie ma — kiedy wszelkie środki usunęły się przed nią — kiedy nędza, głód, rozpacz były jedynemi towarzyszkami nieszczęsnego życia — nie — ona umrzeć musi — ona umrze — myśl ta dodała jéj sił nowych — postanowiła umrzeć — śmierć była jéj jedyną nadzieją na świecie, i na nią patrzała, jak uwięziony patrzy na narzędzie, co ma kajdany jego rozkuć; — było południe — ona wieczorem rzuci się w morze — wieczorem, bo w dzień mogliby ją wyratować — i znowu oddaliby ją do szpitala. Po ulicach Brestu chodziło dużo ludzi — a między niemi chodziła Zosia — nędznie okryta — wynędzniała — blada — nie jeden wziął ją za żebraczkę — sięgnął do kieszeni — chciał jéj dać jałmużne. Zosia odwracała głowę i biegła ile mogła — i w myśli powtarzała: »ja dziś umrę — ja nic nie potrzebuję.« — Czasami pytała losu, czy nieba, czemu taka nieszczęśliwa, czemu nie urodziła się jednym z tych ludzi, co koło niéj biegali — nie zaś Zosią biedną, opuszczoną, która przed życiem uciec do grobu musi. Niebo milczało, wieczór się zbliżał — Zosia szła śmiało ku morza brzegom. — Śliczny to był wieczór — cichy, łagodny — letnim wiatrem owiany. Zosia siadła na kamieniu — nie daleko morza i głęboko nad czemś myślała. Może przeniosła się myślą w ostatni szczęścia wieczór — kiedy kochana jeszcze tak lubą cieszyła się przyszłością. Ze szczytu takiego szczęścia tak nizko zeszła — wszystko stawiła na los jeden — a los ten przegrał. — Alfred ją porzucił — Alfred z inną się ożenił — a jednak jakież to święte czynił jéj przysięgi, na cóż się zdały — złamał je, a jednak szczęśliwy — ona je dochowała, a dziś umrzeć musi. — Wstała prędko, pobiegła na brzeg morza, — ciche było i spokojne — bałwany spały w wód głębinie, — jeden krok jeszcze, a już wszystko skończone. Zosiu wartoż żyć — by płakać zawsze?

Wśród ciszy wieczornéj z dala śpiew jakiś echo do brzegów morza doniosło, — Zosia wstrzymała się nad samym brzegiem — słuchała pilnie — potem usiadła i łzy rzewne po wychudłych zbiegły licach. Był to śpiew smętny polskiéj piosenki, które Zosia niegdyś w rodzinnéj ziemi słyszała, które niegdyś będąc dzie-

ckiem jeszcze niewyraźnemi niemowlęcia powtarzała słowy — i tęsknota za ojczystym krajem serce Zosi napełniła — zapragnęła wrócić tam, gdzie się zrodziła i gdzie grób matki jéj został — zapragnęła słyszeć mowę ojczystą i ujrzeć ojczystą ziemię. — Głos śpiewu zdał jéj się być głosem nieba — i odeszła od brzegu morza, idąc w tę stronę, skąd głos piosnki ją doszedł. — Niezbyt daleko ztamtąd siedział majtek jakiś — on to śpiewał polską piosnkę. — Przed wielu laty tak jak i Zosia z panem swym przywędrował do Francyi, pan umarł, a on do morskiéj zaciągnął się służby; długo rozprawiali z sobą, bo Zosi lubym był dźwięk mowy ojczystéj, a gdy odszedł majtek, długo patrzała za nim, jakby za własnym patrzała się bratem — potém usiadła tam, gdzie majtek siedział, i myślała jakby dostać się do Polski — bez grosza pieniędzy, bez przyjaciół, ni znajomych — jakże tak długą przedsięwziąść drogę — wtém przypomniała sobie, że miała na palcu pierścionek złoty, dany jéj niegdyś przez Alfreda; spełzły nadzieje, których ten pierścień zakładem był świętym — cóż jéj już po nim, kiedy przeszłości nie wróci. Zosia zaniosła go do złotnika; — nie bardzo ufał Zosi, lecz gdy mu swoje opowiedziała przygody, tknięty litością drogo zapłacił jéj pierścień i powiedział nieświadoméj dziewczynie, gdzie się ma udać, by sobie i paszport i miejsce na pocztowym wozie ułatwiła. — Już wszystko załatwione — a na drugi dzień Zosia pojedzie do Polski. Lecz nim wiecznie opuści to miejsce, te kraje — Alfreda zoczyć pragnie choć z dala. — Nie trudno było dopytać się o niego, wszyscy go znali w mieście, a że był dobroczynny, a Zosia nędzna i uboga, łatwo się każden domyślił, że wsparcia u niego zażąda.

W dzień wyjazdu rano Zosia stała u bramy domu Alfreda i czekała, aż wyjdzie na miasto, bo nie śmiała wejść w dom jego, w mieszkanie szczęścia nieść obraz nędzy i ubóstwa. Wychodzili i wchodzili różni ludzie do domu Alfreda — i Zosia weszła do sieni na schody — wszędzie dostatek, przepych mnóstwo sług bogato przybranych; jeden z nich dojrzawszy ją strącił ją ze schodów, mówiąc, że dziś pan nie ma czasu, że dość już włóczęgom pieniędzy wydał. Biedna Zosia wyszła wypchnięta z domu Alfreda, jak ją niegdyś pan jego z serca swego wypchnął. Stanęła znów pod domem, a łzy goryczy mimo woli z oczu jéj się puściły. — Wtém ktoś wyszedł znów z domu — to Alfred — on sam, tak wesoły, tak szczęśliwy, jak niegdyś obok niéj zwykł bywać, jak go późniéj w powozie Zosia widziała. Przeszedł koło niéj — zatrzymał się na widok nędzy, ale nie poznał w biednéj żebraczce pięknéj i szczęśliwéj Zosi, — Zosi, którą w dostatkach zostawił, którą niegdyś tyle kochał — bo szczere były jego przysięgi, tylko nie trwałe. Wyjął pieniądz z kieszeni, chcąc jéj dać jałmużnę. Ah! mogłaż Zosia wziąść grosz na strawę od tego, co jéj niegdyś dał tyle szczęścia, któremu ona wszystko oddała, a który nawet dalekich wspomnień nie mógł zebrać na bladych jéj licach. Smutnie potrzęsła głową, odmawiając Alfreda podarku — a nie mogąc dłużéj ukryć wzruszenia swego, głośno zapłakała i spiesznie w przeciwną stronę uciekła. Długo patrzał za nią Alfred — mimowolnie wspomnienia nieznanéj dziewczyny — wspomnienia kochanéj Zosi — wcisnęły się w serce jego. Dawno uśpione wyrzuty zbudziły się w myśli jego — chciał biedz za żebraczką, już jéj nigdzie nie było. Alfred poszedł daléj, spotkani przyjaciele — rozproszyli smętne wrażenia i wkrótce znikły one, jak niknie chłodnéj zimy wspomnienie wśród ciepłych lata promieni. Może późniéj wspomniał sobie Alfred o sercu, co mu tak wiernem było — lecz nie mógł już zwrócić szczęścia ni zgoić rany śmiertelnie zadanéj.

Nad wieczorem dnia jesiennego zapukała Zosia do nędznego domku rodzinnego miasta. Otworzono — Zosia zażądała mieszkania. Pokazano jéj nędzną izdebkę pod dachem i Zosia w niéj została. Lat tyle — tyle odmian, tyle zdarzeń rozlicznych — nie zatarły dziecinnych wspomnień. Poznała do razu matki mieszkanie — miejsce nędznego jéj życia i śmierci. — I zdało się Zosi, że jeszcze dzieckiem, że jeszcze choréj matki pilnuje, że jeszcze nad nią płyną łzy dziecięcia. Równie biedna — równie opuszczona, jak wtenczas — tylko że teraz miała więcéj poznania i smutną przeszłość na udręczenie jéj pamięci. — Bez losu — bez przyszłości Zosia uczuła chwilę rozkoszy — gdy się ujrzała na rodzinnéj ziemi i gdy w koło siebie mowę rodzinną słyszała — lecz życie jéj bez celu, ni nadziei, było jéj ciężarem, któren chętnie złożyć była chciała. Pracując nad utrzymaniem nędzy i zgryzot swoich — nie raz ze śmiechem, rozpaczy, pytała saméj siebie, po co pracuje i żyje by łzami goryczy suchy chleb polewać? —

I dnia jednego, po krótkiéj chorobie, nie pytała się już więcéj o to Zosia. Dwóch grobarzy nędzną trumnę poniosło na cmentarz; — nikt nie szedł za nią, nikt nie zapłakał nad grobem samotnym. — Smętny był dzień życia Zosi — raz tylko na chwilę zaświeciło mu słońce życzliwém promieniem — potém się w czarne zakryło chmury, dziś już zaszło na wieki i nigdy nie wstanie.

O ileż to podobnych istnień napotkać można na świecie — ileż cierpi w cieniu i cichości i dopiero pod twardym grobu kamieniem wytchnienie po smutku znaj-

duje. — Cóż więc rządzi szczęściem na ziemi — cóż jest takiego, co ścieszki skałami zapełnia lub kwiatami wesela zasiewa? —

Listy ajenta saskiego

podczas bezkrólewia po Auguście III. i w początku panowania Stanisława Augusta.

(Dalszy ciąg.)

VIII.

Warszawa, 8. Lutego 1764.

Przemawia do mnie bardzo, że wojewoda Zamojski nie jest ani za Sasem, ani za familią, bo wbrew interessowi jednej strony utrzymywał nawet na konferencyi, że przedewszystkiém trzeba nalegać, żeby wojska moskiewskie opuściły Litwę, której ziemie zajęły pod różnemi pozorami; na szkodę zaś drugiéj strony unika zupełnie wszelkiéj explikacyi przed magnatami przyjaciołmi saskimi. Utrzymują, że jest bardzo przywiązany do króla pruskiego. Trudno uwierzyć, że ten monarcha da się prowadzić imperatorowéj w sprawie, z któréj mógłby ciągnąć tyle znacznych korzyści. Sejmiki tymczasem ślicznie wypadają dla stolnika, który tu bez sporu został pierwszym posłem; pan Szydłowski jest drugim. Wnoszą, że nie taka łatwa sprawa będzie w Litwie. Stolnik w niedzielę, poniedziałek i wtorek częstował wszystkę drobną szlachtę i rozdawał jéj pieniądze, miarkując wysokość po minie protekcyjnéj jaką który nastroić umiał. Rozsiano mnóstwo powiastek o czynach bohaterskich téj szlachty, ale potém wszystko się zredukowały na kilka krys przez twarze i ucięcie jednego ucha. Książę August Czartoryski obrany marszałkiem sądów kapturowych województwa mazowieckiego, którego wojewoda, chory leżąc w łóżku, nie mógł przeszkadzać. Porta ottomańska oświadczyła posłowi moskiewskiemu w Konstantynopolu, że sułtan podaje z radością rękę projektowi imperatorowéj i króla pruskiego względem wyniesienia na tron Piasta, a zatém wolno mu zawiadomić o tém swoją panią i innych interessentów; że ze swojéj strony każe powiedzieć posłańcowi hetmańskiemu, że jego obecność już niepotrzebna, jeżeli nie ma swoich prywatnych interessów; wreszcie nie da się zachwiać żadnym przedstawieniom czynionym od osób prywatnych. Jeżeli sułtan albo wezyr powiedział to wszystko, co minister moskiewski z Konstantynopola doniósł hrabiemu Keyserlingowi pod dniem 5. b. m., powinien hetman wielki powiedzieć z Karolem Vtym, »że fortuna lubi tylko młodych i szaleńców.« Już też względem niego wychodzą dosyć dumnie. Miał odebrać list od prymasa bardzo nieprzyjemnéj treści. Słyszałem wczoraj od wiarogodnego człowieka, że jeżeli hetman wielki koronny nie wnidzie w układy natychmiast, to ułatwi mu się sposobność do pożałowania swego oporu w zapasach przeciw trzem mocarstwom i stronnictwu tak dobrze prowadzonemu, jak jest familia. Mówią, że w Kurlandyi stronnictwo księcia Karola wzrasta potężnie. Wielu przyjaciół opuściło Birona, a do niego przechodzą; zwołali już nawet stany, aby radzić, co przedsięwziąść wypada.

Co się mnie tycze, ja na to wszystko nieupatruję pory; okoliczności czasu zdają się bardzo mało sprzyjać; chyba otworzą tylko ranę, ale niepotrafią podać na nie maści.

Otóż wszystkie moje nowiny: przyśléj także z kolei twoje, a nie czekaj, aż się stwierdzą; straciłyby na świeżości.

IX.

Warszawa, dnia 11. Lutego 1764.

Kanclerz Czartoryski oddał raz wizytę Monsiniorowi Visconti. Po krótkim ustępie pytał go się o zdanie ojca świętego względem oboru króla polskiego z dodaniem bez czekania odpowiedzi, że nakoniec sułtan przechylił się na stronę Piasta, że w tym celu ułożył się z mocarstwami sąsiedzkiemi względem sposobów najskuteczniejszych i że sobie pochlebiano, że stolica apostolska także poda rękę.« — Niewiem, czy syllogizm jest logiczny od przyjaźni sułtana do przyjaźni papieża. Wspomniałem w ostatnim liście, że Szydłowski był wybrany na drugiego posła, lecz nie wiedziałem, że szlachta obrała go na polecenie samego stolnika, który przemógł na Szamocie szlachcicu bardzo popularnym w swoim powiecie, że się zrzekł. Szamota, o którym myślano, że nie puści stolnika, ustąpił na jego prośby nawet Szydłowskiemu, który będąc obrany za naleganiem Szamoty, odebrał napomnienie od drobnéj szlachty, ażeby podziękował swemu dobrodziejowi; ale on nie uważał za przyzwoite dla siebie składać dzięki cząstce tego zgromadzenia, które go kosztowało trzydzieści tysięcy złotych polskich i ztąd szlachta rzuciła się i strzepała mu skorę. Wyszedł jednak tańszym kosztem, niżeli książę Jabłonowski, wojewoda Poznański, który jak panu zapewne już wiadomo, był wywleczony za łeb z cmentarza na ulicę, zpoliczkowany i raniony podług jednych niebezpiecznie, podług drugich śmiertelnie.*) Dla upstrzenia tego gwałtu nieprzyjaciele wojewody powiadają, iż ściągnął przez to na siebie to złe obejście, że wyszedł z kościoła i zamiast słuchania mszy werbował sobie stronników, i z tego powodu biskup Czartoryski był zmuszony także wyjść. — Nie wiem, kto mniéj

*) Tak w Warszawie rozgłoszono, ale to się nie stało.

powinien przerywać nabożeństwo dla korzyści doczesnych? Bardzo też wątpię, żeby było miało przyjść aż do konfederacyi, luboć tu powszechnie utrzymują. Trzy województwa poznańskie, rawskie i kaliskie miały się pojednać na wybór Piasta, i to w nieobecności Granowskiego i księcia Jabłonowskiego. Marszałek wielki koronny Bieliński, który w stolicy wykonywał sprawiedliwość z dobrą sławą, nie chciał oddać sądów w ręce wojewody ruskiego marszałka kapturów mazowieckich. Szlachta nalegała uporczywie. Marszałek wielki obstawał przy swojém prawie, dopokąd ciało królewskie nie zostanie przewiezione do królestwa. Jest bowiem konstytucya, według któréj marszałek wielki powstaje przy wykonywaniu sprawiedliwości, dopokąd ciało króla nie jest pogrzebane. Po długich sporach zostawiono tego pana w sprawowaniu sądów. — Odebrałem w téj chwili list pański z 6go Lutego; nie mając czasu, iść zaraz do pana *** mogę upewnić, iż będzie bardzo wdzięcznym hrabiemu. Beneficium w mowie będące było ofiarowane przez prymasa, jakiemuś człowiekowi zasłużonemu; lecz niewiedzą, czy je przyjmie, bo prawo kollacyonowania jest zaprzeczone. Ja zostaję jeszcze w tém samém zadumaniu, mam zamiar wyruszyć, ale nie wiem dokąd? i kiedy? To, co powiedziałem w jednym liście, powiedziałem z przekonania i wyglądam tylko odpowiedzi, ażeby się zdeterminować. Kuchmistrz wielki Wielohorski pozdrawia pana.

Biskup Kijowski Załuski powiedział mi wczoraj, jak już słyszałem zkąd inąd, a mianowicie od naszych przeciwników, że jego królewicoska mość otrzymał radę od lekarzy, ażeby się puścił w podróż i dla tego przybędzie do Krakowa, dokąd się ma udać i jego małżonka. Robi to kłopot dla wpływu, jaki mogą wywrzec te złośliwe nowiny na umysł szlachty brutalnéj i zazdrosnéj; wymyślają kłamstwa dla draźnienia umysłów i motywowania posiłków moskiewskich.

X.

Warszawa 15. Lutego 1764.

Sprawa poznańska nie taka zła, jak ją wtedy udano. Posłowie dwojacy, jedni wybrani przez zabiegi biskupa, drudzy przez moc charakteru wojewody. Co do innych sejmików jeszcze niewiele wiadomo przynajmniéj mówią o nich obojętnie. Jest niewątpliwe, że we większéj części powiatów będą podwojne wybory. Biskup Kijowski robił prymasowi treściwe uwagi w sobotę nad nieprzyzwoitością umieszczenia w Gazecie warszawskiéj takiego listu jak rezydenta moskiewskiego w Konstantynopolu i obstawał, że to jest hańbą, ażeby duchowieństwo miało się zdawać szukać łaski niewiernych; dodał, że pozwalając na podobne rzeczy jego książęca mość mająca tyle szacunku przez swoją roztropność, pobożność i czystość obyczajów, może być podchwyconą przez nikczemników, którzy chcą zgubić jéj wielkie imie. Prymas, który codziennie pokazuje znaki słabości, poruszony temi uwagami upewniał, że gdyby to był miał na względzie, nie byłby pozwolił na wydrukowanie; nic w tém nieupatrywał. Człowiek sam taki wiotki nie potrafi zachwiać sprawy, jakoż mówią wszyscy bez ogrodki, nie że prymas to i to zrobił, ale że ten radził mu to i to zrobić. Dla zapobieżenia, żeby oświadczenie prawdziwe, czy fałszywe niewywarło wpływu na umysły, jaki może wywrzeć, ja myślę, że prosty list prawdziwy albo udany jakiego residenta lub ajenta należącego do przeciwnego stronnictwa a datowany także z Konstantynopola byłby dostateczny; lecz to rzecz naszych polityków zaradzić temu.

Bal, który stolnik Poniatowski wyprawi, ma być bardzo okazały. Będzie stół nakryty na dziewięćdziesiąt osób i sześćset masek. Pani Ogińska dała wczoraj także bal i byłem na nim. Dołączam bilet księdza kanonika; niema do niego co dodać. Przez pierwszego kuryera przyślę odpis mego listu do pana K., a to z wiadomego powodu.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Żydzi.

Godném uwagi jest powodzenie w Polsce żydów w XV. i XVI. wieku, a szczególniéj też krakowskich i ruskich. Pierwsi osobno od Chrześcian na Kazimierzu w Krakowie mieszkając, oddzieleni od nich tak nazwaną glinianą fortą, usilnie wciskali się do miasta. Jakoż wcisnęli się istotnie i osiedli na ulicy ś. Anny, to jest właśnie tam, dokąd z Kazimierza przeniesiono akademią krakowską. Ci to krakowscy żydzi należeli do najmędrszych jakich miała Polska, przeto najwięcéj też mieli przebiegów. W Krakowie pierwsze polsko-żydowskie pokazały się druki.[1]) Krakowscy szczególniéj Izraelici rozprawiali o chrześciańskiéj wierze, w Krakowie znajdowali zwolenników swoich pomiędzy chrześcianami. W roku 1507. spalono żyda, że mówił przeciwko religii chrześciańskiéj, a tamże niezabawem poszła na stós Katarzyna Malcherowa Rayczyni miejska, za to, że z chrześcianki została żydówką.[2]) Mimo niechęci ku sobie utrzymywali się żydzi w znaczeniu, i im więcéj gasło światło w narodzie, im bardziéj ciemnota ogarniała szlachtę i mieszczan, tém więcéj ubożeli chłopi a bogacili żydzi. Pieniądze popłacały, im się kłaniano, a

[1]) Roku 1530. J. S. Bandtkie historya drukarń I. str. 247.
[2]) Bielski, kron. str. 507.

więc kłaniano się żydom, bo ci posiadali je. Szlachta lubiła korzenno jadać, i krasić potrawy swoje szafranem: żydzi korzeniem tym handlowali szczególniéj, i za worek pieprzu, za miskę szafranu, wszystkiego dostępowali łatwo u szlachty.[3]) Żyd wszystkiem był u szlachcica, brał w arędę karczmy, gościnne domy i wioski, miał poddane rataje, był doktorem, rzemieślnikiem, a szczególniéj też złotnikiem; żyd nakoniec najlepsze dawał rady szlachcicowi.[4]) Panowie duchowni i świeccy sprzyjali im, w czém zaufani żydzi powzięli to przekonanie, że jak za starego zakonu bezpiecznie przeszli przez czerwone morze, tak i za nowego zakonu, wszystkie trudności pokonać mogą przez czerwone złote i stare talary. Zdzierając naród dostarczali oni pieniędzy sejmującym stanom, a płacąc wielkie podatki zobowiązywali je sobie tak dalece, że za Zygmunta Augusta uwolniono żydów od noszenia żółtych czapek, któremi aż dotąd przykrywać głowy musieli dla odróżnienia się od Chrześcian, a nawet pozwolono Izraelitom przy szabli chodzić obyczajem szlachty.[5]) Osobliwie też miasta, a szczególniéj Kraków, dały się im łatwo oszukać. Narzekali na to Krakowianie, że im żydzi w handlu przeszkadzają, cisnąć się do miasta, a jednakże sami ich tam zwabiali, za drogie czynsze wydzierzawiając im sklepy w samém mieście. Usilnie starali się o to żydzi, ażeby wolny przystęp do Krakowa mieli, a ilekroć zwracano ich handle na własną ulicę,[6]) przynajmniéj synów swoich posyłali do miasta z towarami, mianowicie też z futrami. Bo pominąwszy, że w Krakowie było tańsze życie, niż w żydowskiem mieście, rynek był najlepszém miejscem do zabiegów i przebiegów żydowskich. Tam nie jeden frant ukrywszy go pod delią przynosił i spieniężał u żydka talerzyk, miseczkę, łyżkę srebrną.[7])

Sprawiedliwości trudno było znaleść na żyda, bo przekupywani przez nich sprzyjali im urzędnicy, i owszem, gdy się na nich chrześcianin skarżył, karali jego a nie żydów.[8]) Potrzeba więc było użyć wsrelkich sprężyn, a mianowicie fanatyzmu ruszyć, ażeby jakokolwiek pohamować żydów. W téj mierze najgorliwszymi okazali się niektórzy kaznodzieje. Ci objawiając żydowskie zbrodnie, naród przeciwko nim podburzali. W r. 1408. wystąpił przeciwko nim ksiądz Budek, kanonik wiślicki kaznodzieja u ś. Barbary a professor akademii, i publicznie ogłosił na kazaniu, że żydzi zamęczywszy świeżo chrześciańskie dziecie krwią zmazali się jego, i na kapłana, gdy szedł do chorego ze świętym sakramentem, kamieniami rzucali. Lud podburzony popalił żydowskie domy, pobrał ich dzieci, pochrzcił je gwałtem i w chrześciańskiéj chciał wychować wierze. Mimo to mieszkali jeszcze żydzi na ulicy ś. Anny w Krakowie r. 1464., gdy oto tłum pobożnych pielgrzymów, udając się na pielgrzymkę do ziemi ś., w pochodzie swoim przez Kraków napadł na tamecznych żydów i złupił ich. Chociaż snadź po tém zdarzeniu wynieśli się Izraelici z Krakowa, przecież zostali w samymże swém gniaździe na Kazimierzu, powtórnie przez pielgrzymów nawiedzeni. Nie przestano tu także obwiniać ich o różne przestępstwa, a mianowicie zarzucano im,[9] że ś. sakrament kupują od podmowianych tym końcem ludzi i sromocą go,[10]) że dzieci chrześciańskie męczą, że cielesność z chrześciankami płodzą, że miasta krzywdzą.[11]) Co skutkowało o tyle, że znowu na czas niejaki upadło u nas Izraela plemie, usunęło się chrześcianom z oczu, czekając dogodnéj pory, ażeby tém okazaléj wystąpić na widowni polskiego świata.

[3]) Kochanowskiego fragmenta 25. 96.
[4]) Gorczyny Zelus.
[5]) Mówi Kocnanowski w Pam. Niemcew. str. 84.
[6]) Na Kazimierz.
[7]) Władysławiusza rada żydowska.
[8]) Bielski kron. str. 228.

Powiada Maciéj z Miechowa w opisie Sarmacyi,[12]) że na Rusi jest sekta żydów, nie lichwiarzów, ale rzemieślników, rolników i wielkich kupców, którzy bardzo często bywają przełożeni na urzędach celnych i poborowych. Gdy z czasem znienawidzono u nas wszystkich w ogóle żydów, snadź i tych także usunięto od urzędowań, stanowiąc w r. 1565. »aby żydowie urzędów mieć na sobie nie mogli.«[13]) Lecz za Zygmunta III. znowu sprawowali urzędy.[14])

W. A. Maciejowski.

Krytyka.

Obraz myśli mojéj na pamiątkę żonie i dzieciom, przez *Floryana Bachwica. Część I. i II. Wilno* 1838. *i* 1839. *r.*

Opóźniliśmy się w krytyczném zdaniu sprawy, o dziele, jak pod ten czas, nader ważném w literaturze filozofii moralnéj, acz pierwsi podobno oddajemy je pod filozoficzny rozbiór. Pochwały, które to pismo wielostronnie zyskało i które spowodowały autora, że utaiwszy w pierwszéj części nazwisko swoje, w drugiéj je wymienił, rzucone były z powierzchownego tylko rzeczy uważania, i ani z nich publiczność czytająca, ani pisarz rzetelnego publicznego zdania o wartości pisma nie powzięli.

Po pismach treści moralnéj Józefa Kalassantego Szaniawskiego, które swego czasu ogromnie imie autora ku sławie

[9]) Bielskiego kron. str. 288. 432. 490.
[10]) Bielski kron. str. 549.
[11]) Wysocki w przedmowie do żywota ś. Katarzyny seneńskiéj, przedmowa do żywota Jana Bożego, Bembus w kazaniu Kometa.
[12]) U Sołtykowicza str. 280.
[13]) Bielski kron. str. 618.
[14]) Skarga kazanie na niedziele IX. po świątkach.

podniosły, dzieło p. Bachwica pod skromnym tytułem »*Obrazu myśli jego*« jest pierwsze na niwie ojczystéj, co w wydziale filozofii moralnéj na równą, jeżeli nie na wyższą zasługuje uwagę. Były prokurator generalny nasiąkły zasadami Kanta, przysiągł na jego filozofią jak na ewangelią, i powiedzieć coś innegó niżeli Królewiecki powiedział filozof, uważał za odszczepieństwo, za schizmę, godne wyklęcia i potępienia. Dla tego filozofia jego nie była rodzima, lubo napisał rozprawę »jakiéj filozofii Polacy potrzebują?« Był to kantyanizm przepolszczony, po którym, jak po grudzie toczyły się koła rozumów polskich, przeklinano język niedróżny, i łamał się z nim chyba ten, co tam dążył, jak po pewne skarby, po sukcessyą dla rozumu swego; toć i było warto użyć dla tego złéj drogi. Nie tak nasz autor. On rodzimy żywiół ducha, silną wiarę ojców, położył za zasadę, z któréj przedsięwziął rozwinąć zasady moralne. Nie oglądał się na systemata obcych narodów, od których mu, jako od gwiazdy przewodniéj, odejść nie miało być wolno; ale w głębi ducha własnego i z tego, co się tam z oczytania zostało, i z tego, co się samodzielnie wyrobiło, wyprowadzał twierdzenia i wnioski. Nieskrępowany niczém umysł, nie krępował języka, i płynie jasnym potokiem, Wilii wodami wezbranym, i chyba tam tylko nieprzejrzystym, gdzie głębsze ich tonie, i ztąd zciemniona barwa, przez którą dna nie dojrzysz.

Z drugiéj strony autor znamienitych systemów moralnych i systemu Chrystyanizmu, wyższe i rozleglejsze miał wykształcenie filozoficzne. Pisma też jego w jeden system ujęte mają całość, ukończoność, mają metodę, są umiejętnością. Nie można tego powiedzieć o autorze Obrazu myśli. Jest to filozof rozumujący, logicznie, zajmujący, zachwycający nawet tu owdzie głębokiém wzieraniem w myśl, pomysłami uderzającemi prawdą, która jakby na raz z ciemni, na jasność występuje przed oczy nasze. Ale w tém rozumowaniu, w tém zagłębianiu się ni systemu, ni metody nie masz.

Część I. widać przeznaczona była stanowić całość. Więcéj jest dyalektyczna, jak moralna. Z wiarą jedną, jakby z kompasem, puścił się autor na morze badań; ale zresztą łódź płynie zdana na wolę wiatrów. Są tu ogólne wyobrażenia o Bogu, świecie i człowieka, bez dania obrazu całości, zkądby czytelnik zupełnéj, wykończonéj nabrał nauki, gdzieby przekonanie stopniami rozwijało się i rosło i okrążyło wiedzę kolem węża. Pojedyncze rozdziały są jakoby nanizane na nić, ale się nie wysnuwają, jak nić z kłębka; a wszędzie myśl płodna buja wolna, nie tylko po gościńcu założonego twierdzenia, ale i po uboczach, jak się pomysł nawinie. Część druga zawiera rozprawy w meteryach moralnych, i dla téj własności tak w całości, jak w każdéj swojéj mniejszéj części, osobną stanowi całość.

Mimo téj niesystematyczności nie przestaje być niniejsza książka pouczającą. Nastręcza bogaty materyał myśleniu, a w rozwiniętych pomysłach oryginalnie pojętych, samodzielnie pomyślanych, wysoko stoi nad innemi książkami tego rodzaju, prawda nie licznémi, a dającémi pożyczane u obcych myśli; dla tego nie strawne, nie pokarmne dla umysłów naszych. Bo myśl każda, acz jest własnością ludzi, nie ludu, to jednak, aby stała się indziéj pożyteczną i powszechną, na podobieństwo rzeczy fizycznych, wprzody przyswojoną, aklimatyzowaną być powinna; a najpewniejsza ta, co na własnéj zejdzie niwie.

Dla tych zalet pisma na wstępie położonego tak rzadkich u nielicznych pisarzy naszych o rzeczach filozoficznych, obszerniejszy damy zaś czytelnikom naszym przegląd krytyczny, i powitamy z ukontentowaniem autora, co o własnych siłach, pod stósunkami najmniéj takiemu przedsięwzięciu sprzyjającemi, puścił się na rozległy ocean spekulacyi, po którém dotąd tylko sąsiedne zachodnie narody żeglowały. Na wzór fenicyan w żegludze morskiéj, trzymajmy się z nim stałego lądu w podróżach myśli. Podniesiona ogólna oświata poda środki puszczenia się w oddal wód nieprzejrzanych, a przecież wiedzenia gdzie się znajdujemy.

Autor odbijając łódkę od brzegu pomawia modlitwę, którą tu jako wzór pokory ducha w obec stwórcy przytaczamy: »Boże poblogosław myśli mojéj, usiłującéj zrozumieć głos wołania Twojego. Przechodzień na tym świecie obłędnym — w objawieniu wiary, spostrzegam wytkniętą drogę żywota ludzkiego; prowadzi ona do Ciebie, — a jak igła magnesowa zwraca się ku biegunom, tak myśl moja zwraca się całą siłą, zawsze i wszędzie ku Tobie! Dzięki czynię po stokroć za to święte natchnienie: dla znikomych celów tego świata, wystarcza zmysłowość, myśl się niemi skala. Boże! racz pobłogosławić podróżnemu wśród niebezpieczeństw i pomroki!« — Hegel powiedział: die Philosophie ist der fortwährende Gottesdienst, i już o wiele przed nim głębocy poznawacze Boga przez filozofią mienili rzeczą zbyteczną oddawać mu cześć obrzędową; i skrzywiłby się, jeżeli nie rozśmiał Niemiec czytelnik, gdyby mu autor rzecz filozoficzną modlitwą rozpoczynał. Myśmy się tém nie zgorszyli, i jak z jednéj strony widzimy to rzeczą bardzo naturalną, tak z drugiéj nawet rozsądną. U nas filozofia nie rozwinęła się; i jak cała metafizyka ukrywała się w tajemnicach wiary, tak w jéj prawidłach i przykazaniach cała zawarta była filozofia moralna. Tą rodzimą myślą wzrośliśmy; i jeżeliśmy późniéj stali się niedowiarkami, to dla tego, żeśmy o obcych rozumach zasłyszeli, które jakiéjś rozsądkowéj religii nauczały; a porzuciwszy tamtę, a téj tu nie poznawszy, nie mieliśmy żadnéj. Ale głowa myśląca, rodzimemi żywiołami ducha wykarmiona, gdy się ocknie do samodzielnego nie do naśladowczego myślenia, ażaliż może z innéj przystani podróż rozpocząć, a nie z wiary, jedynéj nauczycielki o Bogu, o człowieku, i jego powinnościach? Cóż dziwnego, że wychodząc ze świątyni pańskiéj, w któréj nas Boga poznawać nauczano przez wiarę, i chcący go poznać o siłach myśli, błagamy z pokorą tegoż Boga, aby on, co jest myślą, myśli naszéj, prowadził nas podróżnych wśród pomroki tego świata? Powtóre, jeżeli Bóg jest celem wszystkiéj wiedzy i wszystkiéj filozofii, jeżeli ta wiedza jest czcią jego nieustanną, miałożby być poniżeniem uczcić go uczuciem, które modlitwa wyraża?

Napisy rozdziałów 1éj części są wyjątki z pisma Ś.; druga część już ich nie umieszcza. Widzimy tu to samo wyjście, a późniéj rozejście się. Pismo S. nie przestanie być księgą wielkiéj mądrości, a ewangelia nowego przymierza źródłem wszelakiéj moralności, atoli droga religii i droga filozoficznego badania rzeczy, będą zawsze dwie różne drogi, acz do jednego celu wiodące; i jak nie uświęci rzeczy świeckiéj napis biblijny, tak może być na odwrót święte i to, co krom pisma S., samą myślą objawiło się. Albowiem Bóg i wiarą i wiedzą objawia się w człowieku.

Idźmy teraz za autorem w szczegółowych jego pomysłach, o ile szczupłość pisma tego pozwala.

»Myśl ludzka — mówi w artykule pierwszym — w każdém widowisku zmysłowém, z natury swojéj musi śledzić prawdy dla ustanowienia związku zgodności ze wzorem w duchu objawionym; zapatrując się więc na niebo, gwiazdy i planaty, śledzi, bada i szuka, gdzie jest ta istota najmędrsza, która wszystkie fenomena świata i najmniejsze wypadki obliczała, skombinowała i w najmędrszy porządek urządziła! gdzie ta jest wszechmocna potęga, która ogromem świata wedle swojego rachunku i myśli zawładła!«

Widzimy tu zaraz na wstępie ważną wyrzeknioną filozoficzną prawdę, któréj autor nigdzie nie dowiódł, a która jest podstawą całéj filozofii: że w duchu naszym objawione spoczywają prawdy czy wzory, z któremi mierzy się i stósuje wszelka prawda w zewnętrznym świecie pochwycona i pojęta. Jeżeli zaś tam złożone są wzory prawd powszednich, musi być złożon wzór prawdy najwyższéj, to jest Boga, którego wielkość i majestat poznajemy w zwierciedle zewnętrznych pojawów, ale którego istności dociekamy w nas samych, i nie badamy, **gdzie** jest ta istota — bo to pytanie pojęcie nieskończoności przestrzeni i czasu wyklucza — lecz **co** jest ta Istota.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Redaktor: *A. Woykowski.*

Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*